



Dorota
Krawczyk

Ciasna brama

Powieść o Paulinie Jaricot



Ciasna
brama

Dorota Krawczyk

Ciasna brama

Powieść o Paulinie Jaricot



Wydawnictwo Sióstr Loretańek
Warszawa 2022

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Sióstr
Loretanek, Warszawa 2022

Redakcja:
s. Maria Rytel CHR

Opracowanie graficzne i łamanie:
s. Franciszka Marchelak CSL

Zdjęcia:
pixabay.com, ks. Bogdan Michalski (str. 92)

ISBN 978-83-8212-077-6 (książka)
ISBN 978-83-8212-086-8 (e-book)

Wydawnictwo Sióstr Loretanek
ul. L. Żeligowskiego 16/20; 04-476 Warszawa
tel. (22) 673 46 93; 673 58 39
www.sklep.loretanki.pl; e-mail: wsl@loretanki.pl

Druk i oprawa
Drukarnia Loretańska, Warszawa-Rembertów

Spis treści

Cudowna podróż	7
Rajski skowronek	47
Dom na wzgórzu	89
Przedsiębiorcy i oszuści	135
Odrzucona	171
Epilog	200



*Jakże ciasna jest brama i wąska droga,
która prowadzi do życia.*
Mt 7, 14

Rozdział pierwszy

Cudowna podróż





1.

Droga Siostró i Przyjaciółko,
czy w tym jednym liście jestem w stanie zdać Ci sprawę z wszystkich łask i opowiedzieć Ci o niewysłowionym pocieszeniu, jakiego doznaje dziecko Kościoła u stóp namiestnika Jezusa Chrystusa? Czy zdołam przekazać Ci myśl o zbawiennych przeżyciach, jakich doznaje dusza na widok skarbów pobożności zamkniętych w świętym mieście? Czy mogę powiedzieć Ci, jak ochoczo przyjaciele Boga przyjęli wiadomość o Różańcu? Czy jestem w stanie od razu opowiedzieć Ci o blasku, jakim otoczony jest grób świętej Filomeny, i przekazać ze szczegółami, jak w moim ciężkim stanie choroby zniosłam trudy długiej podróży, gdy od początku oddałam się pod opiekę tej łaskawej świętej, i jak odzyskałam zdrowie?

Jeśli zjednoczenie dokonane przez moją miłość do Ciebie pozwala mi powiedzieć, że jestem tu, w Rzymie, Twoimi oczami, by oglądać cuda Pana w Jego Kościele, to jestem bardzo zazdrosna, że użydziesz mi teraz swojego serca, by pomóc mi wysławiać Jego święte imię.

A jednak powiem Ci wszystko, droga Siostró, gdyż radości, jakich doznałam, byłyby niepełne, gdybym nie podzieliła się nimi z Tobą. I czuję się do tego zobowiązana tym bardziej, że widok mojej nędzy jasno pokazuje mi, że Bóg udzielił mi tych łask nie szczególnie dla mnie, ale wyłącznie dla Żywego Różańca, który mam tu przywilej reprezentować.



– Paulinko, przyszedł ojciec Barrelle. Czy czujesz się na siłach, by go przyjąć?

– Tak, Zosiu, prosz – odparła Paulina ledwo słyszalnym, nieco chrapliwym szeptem, po czym wolno obróciła ku siostrze

głowę i uśmiechnęła się do niej słabo. Wciąż musiała trzymać w karchach swoje wątłe ciało, bo każdy, nawet najmniejszy ruch mógł spowodować przerwanie nadwyreżowanych naczyń krwionośnych. Wprawdzie od czasu, kiedy lekarze dokonali zabiegu przekłucia zewnętrznych otworów oddechowych, by oddalić niebezpieczeństwo uduszenia, widmo śmierci i kolejnych ataków serca nieco się od Pauliny oddaliło, lecz oddychanie nadal sprawiało jej niewypowiedzianą mękę. Jedyne, co ją trzymało przy życiu, to myśl, że upodabnia się do Jezusa, który dusił się, wisząc na krzyżu. Poza tym panie z Żywego Różańca tak gorliwie modliły się o jej uzdrowienie...

– Pochwalony Jezus Chrystus. – Ojciec Barrelle wszedł do małego pokoiku, którego umeblowanie stanowiły sofa dla chorej oraz mały stolik i dwa fotele dla odwiedzających ją gości, i uczynił nad Pauliną znak krzyża.

– Na wieki wieków – odparła Zofia i podsunęła gościowi jeden z foteli, sama zaś usiadła na drugim.

– Jak się miewa panna Paulina po zabiegu? – zapytał ojciec Barrelle, zwracając się w stronę Zofii.

Kobieta westchnęła.

– Lekarze twierdzą, że jest nieco lepiej, lecz szans na uzdrowienie nie dają – odparła. – Męczy się biedaczka i nie ma sposobu, by jej ulżyć – dodała po chwili, patrząc z troską na siostrę.

– Proszę jej nie słuchać – odezwała się Paulina z widocznym trudem. – Troskliwość Zosi i jej córki, Paulinki, przynosi mi wielką ulgę, poza tym mam tuż przy sobie mojego Oblubieńca...

– Paulina napisała do Rzymu, by pozwolono jej leżeć w tym pokoiku przylegającym do kaplicy – wyjaśniła Zofia, wskazując na małe, zakratowane okienko, które dawało dostęp do Najświętszego Sakramentu. – Miała dużo szczęścia, bo jednocześnie z pozwoleniem dotarła sofa, którą specjalnie w tym celu zamówiła.

– Jestem, ojczy, chora, ale szczęśliwa – powiedziała Paulina, kierując wzrok ku tabernakulum. – O wiele łatwiej jest ścierpieć swoją kruchość fizyczną niż ciemności duchowe. Widać, moje biedne serce musi znosić to męczeństwo dla dobra dusz. O Jezu – westchnęła nagle w uniesieniu – jakże Cię kocham!

– Taaak – powiedział ojciec Barrelle przeciągle. – Zawsze podziwiałem pani cierpliwość, panno Paulino, i modłę się gorąco o pani uzdrowienie.

– Dziękujemy, ojczy, wiele osób się o to modli i może właśnie ich modlitwom zawdzięczamy fakt, że nasza Paulina jeszcze żyje – westchnęła Zofia.

– Trzeba mieć nadzieję, zawsze trzeba mieć nadzieję. – Ojciec Barrelle uśmiechnął się nieco zagadkowo, po czym sięgnął do swojej teczki i wyjął z niej jakiś obrazek. – Znają panie świętą Filomenę? – zapytał.

– Tę nową cudotwórczynię? – odpowiedziała pytaniem Zofia. – Słyszałyśmy co nieco, ale... ja osobiście nie mam zaufania do nowinek.

– Och! – Ojciec Barrelle zachnął się. – Filomena to nie żadna nowinka, lecz starożytna święta. Wprawdzie jej grób faktycznie odkryto całkiem niedawno, lecz doprawdy, nie ma się tu czego obawiać. Cuda, jakie się dokonały za jej przyczyną, są wielce przekonujące. Panie słyszały, że Jego Świątobliwość wyniósł ją ponownie na ołtarze? Pomyślałem zatem, że może i pannie Paulinie wyświadczy łaskę... nie papież, rzecz jasna, lecz święta Filomena... – Ojciec Barrelle urwał i podał Zofii obrazek, który trzymał w ręku.

– Toż to prawie dziecko! – zawołała Zofia. – Lecz jaka ona piękna – dodała, pokazując obrazek Paulinie.

– Piękna, bardzo piękna – potwierdził ojciec Barrelle. – I właśnie ta piękność sprowadziła na nią męczeńską śmierć.

– Doprawdy?

– Tak, pani Zofio. Sam cesarz Rzymu, Dioklecjan, zakochał się w niej. Legenda głosi, że Filomena była córką greckiego

króla nawróconego na chrześcijaństwo. Gdy pewnego razu wyruszył w sprawach dyplomatycznych do Rzymu, zabrał ze sobą córkę, a ta wpadła w oko cesarzowi. Odmówiła jednak zaszczytu małżeństwa z pogańskim władcą i musiała ponieść karę.

– Ach, więc dlatego jest męczennicą... – wyszeptała Paulina dziwnie tęsknym głosem. – A te strzały, które trzyma w ręku?

– W myśl legendy cesarz najpierw ją uwięził i kazał torturować, lecz każda rana na jej ciele w cudowny sposób się goiła. Rozzłoszczony tak nieoczekiwanym obrotem sprawy, kazał jej ciało przeszyć strzałami i wrzucić do Tybru z kotwicą u szyi. Sądzę, że właśnie stąd wzięły się strzały na jej wizerunku.

– Jakże to okrutna śmierć.

– Faktycznie okrutna. Cesarz i jego świta byli świadkami, jak umierała, lecz ona po paru dniach o własnych siłach wyszła z wody.

– Doprawdy?! – westchnęła Paulina. – I co było dalej? Czy cesarz się nawrócił?

– Bynajmniej, panno Paulino. I w końcu kazał ją ściąć mieczem.

– Hmm, to ciekawe... A więc ta święta dziewica umierała i powracała do życia. Zupełnie jak ja...

Ojciec Barrelle uniósł brwi i popatrzył na Paulinę zdziwiony.

– Bo widzisz, ojcze – jęła tłumaczyć słabnącym co i rusz głosem Paulina – ja mam wrażenie, że wciąż umieram, żeby znów ożyć i umrzeć ponownie...

– To prawda, ojcze – potwierdziła Zofia. – Nie dalej jak wczoraj rano przybiegła do mnie córka z płaczem, że ciocia nie żyje, ale gdy po chwili weszłyśmy obie do pokoju, Paulina leżała spokojnie na sofie i uśmiechała się do nas jakby nigdy nic.

– Och, Zosiu, być może po prostu spałam, a Paulinka wzięła mnie za martwą.

– Ciekawe – skonstatował ojciec Barrelle. – Bo właśnie wczoraj rano, gdy się modliłem za pannę Paulinę, przyszła mi na myśl święta Filomena. Dlatego tu dziś przyszedłem. Może to było wezwanie, żeby się do niej modlić? Co pani na to, panno Paulino?

Propozycję, żeby powierzyć się opiece młodej rzymskiej dziewczicy i męczennicy Paulina przyjęła z radością. Natychmiast też, nawet z pewnym ożywieniem, zaczęła się dopytywać o kolejne szczegóły życia świętej, której szczątki odnaleziono niedawno w rzymskich katakumbach. Ojciec Barrelle zdawał się tylko na to czekać, od lat bowiem interesował się Filomeną i właśnie wydał jej biografię. I któż by mógł przypuszczać, że Paulina, która jeszcze do wczoraj ledwo poruszała głowę z obawy przed nadmiarem ruchu, sama, i to bez najmniejszego trudu, zabierze się za tę lekturę.

– A więc znów zmartwychwstałaś! – zauważyła któregoś dnia Zofia ze śmiechem, widząc, w jak dobrej formie jest jej siostra.

– Och, Zosiu, to naprawdę cudowna święta. Dasz wiarę, że od kiedy zabrałam się za czytanie, łatwiej mi się oddycha?

– Bardzo się cieszę, kochanie. Lekarze wprawdzie nie są optymistami, jeśli chodzi o twoje zdrowie, ale dla nas każda najmniejsza poprawa jest wielką ulgą i radością.

– I ja się cieszę, Zosiu. Tak ciężko patrzeć, jak chodzicie z Paulinką wokół mnie zasmucone, jakbym już leżała w grobie...

– A więc widzisz nasz smutek... – powiedziała Zofia jakby do siebie, po czym podeszła do sofy i usiadła na jej brzegu. – A pamiętasz ojca Magallona? – zapytała.

– Tego przyjaciela papy? Oczywiście, że pamiętam. To chyba on zajmuje się odnową zakonu św. Jana Bożego, prawda?

– Tak, kochanie. A do tego nie przestaje myśleć i o nas.

– Doprawdy, myśli o nas? Trzeba mu koniecznie podziękować.

– Zobacz, Paulinko, co ci przysłał. – Zofia sięgnęła do kieszeni fartucha, wyjęła z niej jakiś mały przedmiot i podała go siostrze.

– To jakaś relikwia? – zapytała Paulina, próbując odczytać napis umieszczony pod skrawkiem szarego płótna naklejonego na białą tekturkę.

– Tak, kochanie, relikwia świętej Filomeny. Ojciec Magallon przysłał ją, jak tylko się dowiedział o twojej chorobie.

– Och, wszyscy jesteście dla mnie tacy dobrzy... – westchnęła Paulina, unosząc ostrożnie relikwię do ust. – Może mój Oblubieniec chce mnie znów przywrócić do życia? – dodała po chwili, odwracając wzrok w stronę tabernakulum.

Zofia wstała z sofy i cicho opuściła pokój. Wiedziała, że jej siostra zatopi się teraz w modlitwie i nie chciała jej przeszkadzać.

Relikwię świętej Filomeny Paulina kazała oprawić w małą, złotą ramkę i postawić na stoliku, tak żeby miała ją w zasięgu wzroku. I, rzecz dziwna, ilekroć na nią popatrzyła, miała wrażenie, że jej ciało ogarnia jakieś przyjemne ciepło, które sprawia, że stopniowo odzyskuje siły. Kilka dni później mogła już spędzać po parę godzin na swojej sofie w pozycji siedzącej. Była pewna, że ten powrót do zdrowia zawdzięcza świętej Filomenie, a że czytając jej biografię, prawdziwie ją pokochała, zaczęła obmyślać plan wyprawy do Mugnano del Cardinale, małej miejscowości nieopodal Neapolu, gdzie znajdowały się doczesne szczątki Świętej. Domowy lekarz nie krył zdumienia.

– Przy tak poważnej chorobie układu krążenia może czasem dojść do zaburzeń psychiki – powiedział cicho, zwracając się do Zofii.

– Tak, doktorze, ja wiem, że to pozbawione logiki, ale znam też swoją siostrę – powiedziała Zofia z przygnębieniem. – Jeśli raz coś sobie wbije w głowę, nie ma siły, by ją powstrzymać. A skoro poczuła się lepiej...

– Ależ to niedorzeczny pomysł...

– Doceniam pana troskę, panie doktorze – odezwała się nagle Paulina, która, choć robiła wrażenie nieobecnej, wszystko świetnie słyszała – lecz zapewniam pana, że wiem, o czym mówię. Nie oczekuję pańskiej opinii na temat moich planów wyjazdowych, lecz jedynie medycznej porady co do możliwości ich realizacji.

– Droga pani – odparł doktor zdumiony tak nieoczekiwaną ripostą Pauliny. – Nie wiem, czy mogę powiedzieć w tej kwestii coś rzeczowego, już bowiem sam fakt, że pani wciąż żyje, budzi moją poważną konsternację. Mianowicie ja od strony medycznej nie widzę nic, co by mogło usprawiedliwić pani powrót do zdrowia, nie mogę więc również stawiać medycznych diagnoz odnośnie do pani ewentualnej podróży do Włoch.

– Jestem zatem zdana tylko na siebie, panie doktorze?

– Tak myślę, panno Paulino. Proszę jechać bez skrępowań, jeśli taka jest pani wola, ale jak daleko pani zajędzie, o tym już nie mnie wyrokować.

I tak z początkiem maja 1835 roku mała karawana, z Pauliną siedzącą wygodnie na dużym, wyściełanym adamaszkiem krześle z wysokimi poręczami, wyrusza z Lyonu. W wyprawie towarzyszą Paulinie zaprzyjaźniony ksiądz Henri Rousselon, służący Claude oraz pani Marie Melquiond, wierna jej przyjaciółka, a zarazem sekretarka Żywego Różańca. Pierwszy etap podróży mija bez zakłóceń i pod wieczór karawana dociera do Paray-le-Monial. Marzenie Pauliny, by tu przybyć i w miejscu objawień Małgorzaty Marii ponowić oddanie siebie i wszystkich swoich dzieł Najświętszemu Sercu, właśnie się spełnia.

Po kilkudniowym odpoczynku karawana rusza dalej, kierując się na wschód. Niestety w Chambéry stan zdrowia Pauliny gwałtownie się pogarsza. Siostry wizytki, u których podróży się zatrzymują, wraz z ich przełożoną, a przyjaciółką i powiernicą Pauliny, dokładają wszelkich starań, by zapewnić chorej jak najlepsze warunki. Mimo to Paulina jest bliska śmierci i próbuje się pogodzić z myślą, że odejdzie z tego świata, nie

docierając do Rzymu, co więcej, z dala od swojego ukochanego Lyonu. Siostry wizytki nie tracą jednak nadziei. Podejmują nowennę do świętej Filomeny, która znów przychodzi z pomocą. Stan zdrowia Pauliny niespodziewanie się poprawia i chora decyduje się na podjęcie dalszej podróży.

– Może to tylko chwilowe polepszenie – sugeruje przełożona wizytek, gdy Paulina zwierza się jej z cudownej poprawy zdrowia. – Może lepiej byś zrobiła, wracając do Lyonu, niż jechała w świat, gdzie nawet nie znajdziesz pewnej opieki lekarskiej...

– Och, droga moja mateczko, czyż nie wierzysz w moc modlitwy swoich sióstr?

– Wierzę, Paulino, wierzę mocno, wszak wierze zawsze winien towarzyszyć rozsądek. Skąd masz pewność, że twój stan za kilka dni znów się nie pogorszy?

– Pewności nie mam, lecz coś mi w sercu mówi, że święta Filomena chce mnie zobaczyć u swoich stóp w Mugnano.

– Twoje chore serce? – zapytała matka przełożona, uśmiechając się zadziornie. – Mówi ci to twoje chore serce?

– Więc i ty, przyjaciółko, masz mnie za pomyłoną? Och, moje serce jest chore, to prawda, lecz przecież tak bardzo kochające, o czym ty wiesz równie dobrze jak ja. Cóż z tego, jeśli nawet umrę w drodze, skoro cel mam tak szczytny?

– Ponosisz wielkie koszty...

– Nie mów mi o kosztach, mateczko droga. Pieniędzy mam w bród. Wydatki, które poniosę, choćbym i cały rok miała podróżować, niewiele uszczuplą wielkość spadku, który otrzymałam po ojcu. *À propos* kosztów, właśnie cię pytać miałam, jak sobie twoje córki radzą na Fourvière?

Przełożona wizytek spochmurniała.

– Czy coś nie tak? – dopytywała się Paulina.

– Nie chciałam cię martwić, tak źle się miałaś, lecz skoro czujesz się lepiej...

– No, mów, mów, bo zaczynam się martwić.

- Dwa dni temu przyjechał do nas pan Pison.
- Mój zarządca?
- Tak, Paulino. Siostry nie dadzą rady dokończyć remontu domu, który dla nas kupiłaś od lazarystów; jego koszt przerósł nasze możliwości finansowe...
- Chcecie przerwać prace?
- Niestety będzie to konieczne.
- A co się stanie z robotnikami? I jak wy będziecie wyglądały w tej sytuacji?
- Jakaś panna Loras chce odkupić od nas tę posiadłość.
- Panna Loras? O nie! Znam pannę Loras. O, jak dobrze, że choroba zatrzymała mnie w Chambéry!
- Nie rozumiem?
- Czy pan Pison mówił, ile panna Loras chce wam dać?
- Wspominał coś o stu tysiącach...
- Powiedz panu Pisonowi... albo nie, sama z nim porozmawiam. Ja odkupię od was ten dom. Jeszcze dzisiaj polecę mu, by przekazał wam sto trzydzieści tysięcy, i niech panna Loras zniknie ze swoimi podstępными planami.
- Chcesz odkupić od nas za sto trzydzieści tysięcy dom, który wart jest niespełna siedemdziesiąt?
- Paulina uśmiechnęła się do przyjaciółki.
- Chcę przede wszystkim, żeby wizytki uniknęły wstydu, a robotnicy nie stracili pracy. Pieniądze w tym wypadku nie grają roli. Muszę tylko zastanowić się, jak je pozyskać, bo w tej chwili nie dysponuję jeszcze pieniędzmi ze spadku. Zaraz, zaraz... Już wiem! Poproszę o pożyczkę pana Alliouda. Mówiłam ci o nim, prawda?
- Chodzi o tego bankiera? Tak, mówiłaś, że to bardzo pobożny i prawy człowiek. Lecz mnie skądinąd doszły słuchy, że wdaje się w niejasne konszachty finansowe z jakimś przemysłowcem... Pierre'em czy Perre'em...
- Och, nie słuchaj plotek, przyjaciółko, pan Allioud jest wielkim czcicielem Maryi, a tacy nigdy nie wdają się w nie-

jasne konszachty. Mój ojciec zawsze miał do niego całkowite zaufanie, bardzo sobie cenił jego rady i nigdy się nie zawiódł na jego uczciwości. Zresztą chodzi tylko o krótkoterminową pożyczkę, którą oddam, jak tylko zacznę dysponować spadkiem.

– Jesteś pewna, Paulino, że chcesz to zrobić?

– Oczywiście! A co?

– Nie, nic... – przełożona wizytek popatrzyła z uwagą na Paulinę. – Powinnam już dawno przyzwyczaić się do twojego sposobu działania.

– Do rozrzutności? To miałas na myśli?

– Och, nie, Paulino, gdziebym śmiała? Miałam na myśli raczej szybkość, z jaką podejmujesz decyzje, i determinację, z jaką wprowadzasz je w czyn. A że, jak sama powiedziałaś, pieniędzy masz w bród...

Jak Paulina powiedziała, tak zrobiła. Jeszcze tego samego dnia spotkała się ze swoim zarządcą i przekazała mu dyspozycje w sprawie zakupu nieruchomości. I któż by pomyślał, że zaledwie wczoraj leżała bez życia w pokoju gościnnym klasztoru sióstr wizytek?

Maj zbliżał się ku końcowi, gdy grupa podróżnych z Lyonu opuściła Chambéry. Przełożona wizytek załamywała ręce, lecz Paulina czuła się dobrze i nie zamierzała rezygnować z dalszej podróży. Kolejnym miejscem dłuższego postoju na tej szczególnie pielgrzymce, która budziła tak wiele kontrowersji wśród znajomych i nieznajomych, był domek Matki Bożej w Loreto. Ileż to razy Paulina marzyła, by nawiedzić to miejsce, by zanurzyć się w modlitwie pośród murów tego Świętego Domu! Och, jakże była szczęśliwa, zwłaszcza że kustosz sanktuarium, dowiedziawszy się, kim jest i skąd przybywa, pozwolił jej na długie czuwanie u stóp ołtarza. Niestety wielogodzinna modlitwa Pauliny w tym świętym miejscu wprawdzie wzmocniła jej siły duchowe, lecz bardzo osłabiła fizyczne. Następnego dnia doznała silnego ataku serca, a wezwany lekarz nie dawał jej żadnych szans na przeżycie. Jednak dni mijały, a Paulina,

wbrew katastroficznym prognozom, wciąż była pośród żywych. Co więcej, nieoczekiwanie znów zaczęła odzyskiwać siły, jak to się już tyle razy zdarzało, i w połowie czerwca karawana mogła wyruszyć w dalszą drogę.

Wreszcie Paulina dopięła swego. Jej marzenie o Wiecznym Mieście spełniło się. Była jednak zbyt słaba, by udać się do Watykanu na spotkanie z Grzegorzem XVI. Lecz i tym razem czekała ją miła niespodzianka. Dzięki staraniom przyjacielnego kardynała, który dobrze znał pannę Jaricot i jej działalność apostołską, papież Grzegorz sam przybył do Pauliny. Długo wpatrywał się w jej wątłą postać, w końcu usiadł przy łóżku i wziął jej chudą dłoń w swoją rękę.

– Więc przybyłaś, córko, z Lyonu w tak ciężkim stanie? W istocie sam Bóg musiał cię w tej podróży podtrzymywać.

– To prawda, Wasza Świątobliwość – odparła cicho Paulina, nie kryjąc łez wzruszenia. Bóg i święta Filomena.

– Nasza święta Filomena?

– Tak, Wasza Świątobliwość. Jak tylko nabiorę sił, wyruszę do Mugnano, by stanąć u jej stóp.

Papież popatrzył na chorą, zmarszczył brwi, po czym mocniej uściśnął jej dłoń.

– Jesteś tego pewna, córko droga? Wszak to, co ja widzę, wskazuje raczej, że niebawem odbędziesz swoją ostatnią pielgrzymkę, i to niekoniecznie do Mugnano.

– Każdy, kogo spotykałam po drodze, mówił mi to samo, Wasza Świątobliwość, a jednak, wbrew tym proroctwom, dotarłam do Rzymu. A skoro dotarłam do Rzymu, dotrę również do Mugnano, by pokłonić się tej, która, jak wierzę, walczy przed Bogiem o moje życie.

– Taak. – Papież Grzegorz spuścił głowę i zamyślił się. – Kardynał Lambruschini dużo mi, droga córko, o tobie mówił. Wychwalał twój talent organizacyjny i twoją miłość do Chrystusa. Lecz mimo to na próżno starałem się sobie wyobrazić, jak może wyglądać ta przedsiębiorcza Francuzka, która w tak

krótkim czasie stała się matką misjonarzy całego świata i organizatorką dwóch wielkich dzieł misyjnych. Teraz zaś, gdy patrzę na ciebie, córko, nie potrafię wyjść ze zdumienia... Niech Bóg cię pobłogosławi za to, co zrobiłaś dla Jego świętego Kościoła, i niech da ci odpocząć w swoim królestwie. Wstaw się za swoim biednym papieżem, aby mógł godnie wywiązać się z powierzonej mu misji duszpasterskiej... gdy będziesz już w niebie – dokończył nagle spontanicznie, lecz szybko odwrócił głowę.

Paulina popatrzyła na papieża i uśmiechnęła się smutno.

– Więc i Wasza Świątobliwość wątpi, że święta Filomena wyprosi mi uzdrowienie?

– Och, córko, wątpić jest rzeczą ludzką, a ja, choć tak wielkiemu Panu służę, człowiekiem jestem i wszelkim ludzkim słabościom podlegam.

O tak, sam Ojciec Święty powątpiewał! Bo i stan mój, droga Przyjaciółko, był naprawdę ciężki. „Gdy będziesz już w niebie”... Dobrze słyszałam te słowa, które wyrwały się z głębi jego dobrego i wrażliwego serca, a których sam się szybko zawstydził. Wystaw więc sobie, jakaż była jego radość, gdy za powrotem z Mugnano zobaczył mnie całkiem, ale to całkiem zdrową! „Czy to moja droga córka z Lyonu? Czy powstała z martwych? Czy też święta dziewica nie pozwoliła jej do nich dołączyć?” – zapytał. „To ja – odparłam – biedna mieszkanka Lyonu, którą Jego Świątobliwość odwiedzał jako umierającą”.

Potem opowiedziałam Jego Świątobliwości ze szczegółami wszystko, co się wydarzyło w Mugnano. Och, cóż to za dobry ojciec! Trzeba Ci było widzieć, z jak wielką radością i ojcowską troską zachęcał mnie, bym przeszła przez ogromne sale pałacu apostolskiego... „Jeszcze, jeszcze – ponaglał – żwawo! Chcę być pewien, że nie mam przed oczami zjawy z zaświatów, tylko moją drogą córkę z Fourvière”. A ja z wielką radością spełniałam jego prośbę. Wszak Pan w swojej nieskończonej

miłości po raz kolejny, ze względu na swoją chwałę, przywrócił mnie do życia!

Później długie godziny spędziłam z Ojcem Świętym w refektarzu, bo dobry namiestnik Jezusa Chrystusa chciał się wszystkiego o mnie dowiedzieć. Dasz wiarę? Ja, która nie pamiętam już, kiedy ostatnio potrafiłam się zdobyć na kilka bodaj minut rozmowy, teraz mówiłam i mówiłam, i mówiłam, i mówiłam...

2.

– Kardynał Lambruschini wspominał, że pochodzisz z znacznej i bogatej rodziny.

– Tak, Wasza Świątobliwość, ojciec mój był jednym z największych i najbardziej znanych przemysłowców Lyonu.

– W produkcji jedwabiu, jak rozumiem?

– Tak, Wasza Świątobliwość. Nasze miasto, o czym Waszej Świątobliwości zapewne wiadomo, od wieków słynie z tych szlachetnych tkanin i wielkiej liczby fabryk, które je produkują. To miasto na wskroś przemysłowe.

– Tak, tak, słyszałem o ostatnich buntach robotniczych. Cóż... – Grzegorz XVI popatrzył na skromną postać Pauliny, w niczym nieprzypominającą córki bogatego przemysłowca, i zawahał się – cóż – powtórzył – gdzie rozwija się przemysł, tam i wyzysk się wzmacnia, i niesprawiedliwość społeczna.

Paulina popatrzyła na papieża wzrokiem, w którym smutek mieszał się z pewną hardością.

– To prawda, Wasza Świątobliwość, lecz winę za ten stan rzeczy nie zawsze ponoszą sami przedsiębiorcy. Mój ojciec był człowiekiem niezwykle prawym i dobrym, a przy tym bardzo religijnym. A że sam wyszedł z biednego domu i wszystko, co w życiu osiągnął, zawdzięczał wyłącznie pracy własnych rąk, toteż przez całe swoje życie był człowiekiem bardzo uczciwym i wrażliwym na ludzką biedę. Mój ojciec nigdy nikogo nie

skrzywdził. Przeciwnie, wołał raczej sam stracić, niż pozwolić, by któryś z jego pracowników poniósł jakąś szkodę. Nie pamiętam, żeby ktokolwiek skarżył się na złe warunki pracy w naszych przedsiębiorstwach. Zresztą ojciec troszczył się nie tylko o byt materialny swoich pracowników, ale również o ich dobro moralne i duchowe.

– Tak. – Papież Grzegorz uśmiechnął się. – W to akurat nie wątpię, skoro z jego domu wyszła tak gorliwa dusza apostołska, jak ty, moja córko. Lecz mówisz o ojcu swoim w czasie przeszłym, czy już nie żyje?

– Tak, Wasza Świątobliwość, odszedł od nas zaledwie kilka miesięcy temu, lecz od wielu już lat cierpiał na ciężką chorobę, wskutek czego mój brat, Paweł, musiał wziąć na siebie wszystkie jego obowiązki zawodowe. To on teraz zarządza naszymi przedsiębiorstwami. Pełni też funkcję głowy rodziny, jest bowiem z nas wszystkich najstarszy.

– A wiele masz, córko moja, rodzeństwa?

– Było nas, Wasza Świątobliwość, dużo, bo aż siedmioro, czterech braci i trzy siostry, lecz zostało tylko troje: Paweł, siostra moja Zofia i ja.

– Kardynał mówił mi o twoim bracie kapłanie, lecz jak rozumiem, to nie o Pawła chodzi?

– Nie, Wasza Świątobliwość, Paweł, starszy ode mnie o szesnaście lat, od początku pomagał mojemu ojcu prowadzić przedsiębiorstwo. Ten, o którym mówił Waszej Świątobliwości kardynał Lambruschini, to Fileasz, mój brat najmłodszy. On był kapłanem, lecz zaledwie przez siedem lat pełnił swoją posługę jałmużnika w szpitalu głównym w Lyonie. Jego również zabrała nas choroba.

Paulina zamyśliła się. Fileasz był jej najukochańszym, bo najbliższym wiekiem, zaledwie dwa lata starszym bratem. Razem dorastali, razem psocili, razem też przeżywali swoje młodzieńcze kryzysy wiary, lecz ostatecznie stali się dla siebie nieodłącznymi towarzyszami i podporami w drodze do Boga.

Paulina zresztą w jakimś sensie przejęła dzieło, które rozpoczął Fileasz; wzięła pod opiekę dziewczęta, które na prośbę jałmużnika poświęciły się dziełom miłosierdzia w szpitalu głównym, i utworzyła z nich małą wspólnotę Córek Maryi. Śmierć Fileasza, po nagłej chorobie, była dla Pauliny szczególnie bolesnym ciosem, zwłaszcza że nastąpiła zaledwie kilka miesięcy po śmierci ich siostry Loretty, tej, która swoją słodyczą i głębią życia duchowego najbardziej przypominała matkę...

– A matka twoja? – zapytał papież, jakby przeniknął myśli Pauliny.

– Matka odeszła od nas wiele lat temu...



Paulina siedziała w swoim małym pokoiku bawialnym pochłonięta jakąś lekturą, gdy nagle usłyszała pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – powiedziała, nie odrywając oczu od książki.

– Witaj, siostrzyczko!

– Fileasz? – Paulina podniosła głowę i spojrzała w kierunku drzwi. – Już wróciłeś z Belley?

– Jak widzisz. Spieszno mi było do mojej cudownej siostry.

– Wyglupiasz się, Fileaszu.

– A wcale nie. – Fileasz położył na stoliku mały, czarny cylinder i z miną człowieka światowego usiadł na fotelu naprzeciwko siostry. – Nuda w tym tygodniu w kolegium straszna. Wystaw sobie, że nie dostałem ani jednego liściku miłosnego.

– Eh, Fileaszu, Fileaszu, ciebie to się zawsze żarty trzymają. Ale przy tym jesteś taki szarmancki. O, jak ja cię kocham!

– I cóż mi po tym, skoro jesteś moją siostrą?

– Fileaszu!

– No dobrze, już dobrze. Tylko się nie denerwuj, bo to szkodzi urodzie. Wiesz przecież, że i ja kocham cię bardzo,

lecz miłość między siostrą a bratem... No, krótko mówiąc, zawsze jej czegoś będzie brakować.

Paulina zamknęła książkę i popatrzyła na brata z nieco ironicznym uśmieszkiem.

– Cóż, skoro tak sądzisz... Jutro będzie u nas na obiedzie nasza kuzynka. Zakręć się koło niej, może da ci to, czego ci brak w naszej miłości.

– Mam się zakręcić koło Juliette? Och, nie, Paulino, to kobieta nie na moją miarę.

Paulina roześmiała się perliście.

– Masz na myśli jej wzrost czy tuszę? – zapytała. – Lecz ją ją bardzo lubię, jest obyta, dużo wie o życiu i w ogóle cudowna z niej przyjaciółka... Ostatnio często u nas bywa. Wiesz, pod jej wpływem wróciłam do lektury *Wieczornych czuwań*.

– Doprawdy? I co na to rodzice?

– Och, Fileaszu, nie bądź naiwny. Oczywiście, że nic nie wiedzą. Czytam tę książkę w moim saloniku, a do tego tylko wtedy, gdy nie ma ich w domu, i za każdym razem odkładam ją na półkę w bibliotece.

– Zadziwiasz mnie, Paulino.

– Tak? A to dlaczego?

– No wiesz, tyle zachodu dla jednej książki...

– Zapewniam cię, że warta jest zachodu, jeśli mam się stać prawdziwą damą.

– Ależ ty już jesteś prawdziwą damą! – zakrzyknął Fileasz. – Chyba wiesz, że w towarzystwie mówi się wyłącznie o tobie.

– Wiem, wiem, Fileaszu, lecz sława przemija tak szybko, jak przychodzi. Trzeba wciąż pracować, żeby jej nie utracić, a *Wieczne czuwania* w kwestiach życia towarzyskiego są szkołą niezrównaną. Nauczyłam się na przykład ściągać na siebie wzrok mężczyzn tak, żeby tego nie zauważyli.

– O, to chyba umiałaś i bez tej książki. Ja w każdym razie znałam każdy szczegół twojej twarzy, zanim jeszcze zabrałaś się za czytanie *Wieczornych czuwań*. – Fileasz wychylił się nieco

z fotela w kierunku siostry i przypatrzył się jej uważnie. – Czy coś zrobiłaś ze swoimi brwiami?

Paulina uśmiechnęła się słodko do brata.

– Och, to drobiazg – powiedziała. – Juliette zasugerowała mi, żebym je trochę wyregulowała. Kształtne brwi podkreślają rysy twarzy.

– Dla mnie jesteś piękna i bez tego. Niczego nie musisz zmieniać, żeby przyciągać uwagę młodych mężczyzn. Lecz czy kuzyn naszej Loretty już cię przestał zajmować, skoro myślisz, by ściągać na siebie uwagę innych?

– Ależ nie, skądże znowu! Wiesz, że on zawładnął moim sercem bez reszty... Od czasu ślubu Loretty wiele rozmawialiśmy ze sobą o naszej miłości...

– Ho, ho – wtrącił Fileasz – i jak się domyślam, na rozmowach się nie skończyło!

– Daj spokój, Fileaszu. Ja naprawdę kocham Jacques'a i pobierzemy się, jak tylko rodzice się zgodzą. A z tego, co widzę, są temu bardzo przychylni. Lecz cóż to szkodzi podobać się również innym? To nawet ekscytujące: być w centrum zainteresowania i patrzeć z pewną wyniosłością na hołdy, które mężczyźni składają z nadzieją, że zasłużą na moją uwagę.

– I tego właśnie nauczyłaś się z tej książki? A czy mowa jest w niej również, jak zaskarbić sobie względy niewieście?

– Nie, Fileaszu, to książka dla dam, ciebie by z pewnością bardzo znużyła.

– No to czytaj ją sobie, a ja tymczasem pójdę do Pawła. Muszę z nim pogadać o pewnych męskich sprawach.

– O kobietach? – zapytała Paulina zalotnie.

Fileasz uśmiechnął się nieco drwiąco.

– Nie, siostro. Kobiety to tylko jedna połowa męskich spraw, drugą są pieniądze. Choć nie przeczę, że jedno z drugim wykazuje silny związek.

Gdy Fileasz wyszedł z pokoju, Paulina znów otworzyła książkę. Trudno jej było jednak wrócić do przerwanej lektury.

Jej myśli zaczęły krążyć wokół jutrzejszego obiadu, na którym miała zobaczyć swojego ukochanego. Na samą myśl o tym, że znów będzie mogła cieszyć oczy jego męskim wąsikiem delikatnie przysłaniającym zmysłowe usta, przez jej ciało przebiegł delikatny, miły dreszczyk. O, jakże cudownie jest być zakochaną! Wszak miała już piętnaście lat, a piętnastoletnie panny p o w i n n y być zakochane. Paulina rozmarzyła się na myśl o czułych słówkach i pieszczotliwych gestach, w których pławiła się przez ostatnie pół roku, gdy mieszkała u swojej siostry Loretty, świeżo zaślubionej z Victorem Chartronem, właścicielem fabryki jedwabiu w Saint-Vallier, miasteczku, z którego pochodził również Jacques. „Nie, dzisiaj już czytać nie będę” – pomyślała. Zamknęła książkę i ukrywając ją pod narzuconym na ramiona szalem, wyszła z pokoju.

W bibliotece panował już półmrok. Żeby nie wzbudzać zainteresowania wśród domowników, zapaliła tylko małą świecę na fortepianie, po czym podeszła do okna, by wyjąć zza kotary wysoki stółek, który służył do zdejmowania książek z wyższych półek. Przystawiła go do regału i, w jednej ręce trzymając zakazaną książkę, drugą zaś przytrzymując się jednej z półek, wspięła się na mebel. Czynność ta nie sprawiała jej zwykle żadnego trudu, wszak od pewnego czasu powtarzała ją przynajmniej dwa razy w ciągu dnia, jednak tym razem, czy to za sprawą jakiegoś niepotrzebnego ruchu, czy też z innego jeszcze powodu, gdy wyciągnęła rękę, by umieścić książkę na swoim miejscu, stółek zaskrzypiał i zachwiał się. Paulina usłyszała tylko trzask łamanych nóg i runęła jak długa na posadzkę. Nie były to na szczęście jej nogi, lecz mimo to nie była w stanie się poruszyć. Po kilku chwilach do biblioteki przybiegli zaniepokojeni hałasem bracia.

– Paulina?! – krzyknął Paweł, podbiegając do siostry.

Lecz dziewczyna nie była w stanie nic odpowiedzieć, jęczała tylko żałośnie. Bracia ostrożnie podnieśli ją z posadzki i położyli na kanapie.

– Trzeba wezwać lekarza – powiedział Fileasz. – Mogła sobie coś złamać.

– Tak, masz rację – przytaknął Paweł. – Zostań tu, a ja zawiadomię ojca. Po co ona wchodziła na ten stół? Był już taki stary. Prędzej czy później musiał się połamać.

– Wydaje mi się, że mówiła coś o wycieraniu kurzu – wtrącił Fileasz jak gdyby nigdy nic.

– Zresztą to teraz bez znaczenia. Idę do fabryki.

Niestety stan Pauliny okazał się bardzo poważny. Wezwany lekarz użył całej swojej wiedzy medycznej, by przywrócić ją do zdrowia, lecz każda próba kończyła się niepowodzeniem. Jej ciało leżało na łóżku bez ruchu. Rodzina była załamana. Patrząc na jej martwy, utkwiony w suficie wzrok, można było sądzić, że już nie żyje. Najbardziej przerażona była pani Joanna. Całe dni spędzała przy łóżku córki, na próżno próbując obudzić w niej wolę życia, a gdy Paulina zamykała oczy, pani Joanna brała do ręki różaniec i cichym szeptem zanosila do Boga błagalne prośby o uzdrowienie córki. Wreszcie po paru dniach lekarz, który tymczasem zasięgnął porad u wszystkich swoich najznamienitszych kolegów w Lyonie, zdecydował się na zabieg upuszczenia krwi. Sam wprawdzie nie był do niego zbyt przekonany, jeśli bowiem odnosił on skutki, to raczej w przypadku zakażeń czy wysokiej gorączki, lecz ku jego radosnemu zdumieniu tym razem zabieg okazał się zbawienny i już następnego dnia Paulina podtrzymywana przez braci stanęła na nogi, a kilka dni później mogła w pełni uczestniczyć w życiu rodzinnym.

Wszelako jej powrót do świata żywych był naznaczony pewną ułomnością. Paulina szybko zauważyła, że jej chód, dotąd wdzięczny i delikatny, był teraz zdecydowanie niezdatny. Czuła się tak, jakby jej nogi były powykrzywiane i nie poddawały się poleceniom głowy, zresztą i ona sama nie wydawała już tak jasnych i jednoznacznych poleceń,

jak dawniej. Co więcej, jej trudnym do opanowania ciałem wstrząsały co i rusz jakieś dziwne konwulsje.

„Jestem chora, chora nerwowo!” – skonstatowała któregoś dnia z przerażeniem, przyglądając się w lustrze swojej wykrzywionej w nienaturalnym grymasie twarzy. Była załamana. Choroba nerwowa uchodziła w jej środowisku za coś wstrętnego i poniżającego, a zdiagnozowana u niej samej urosła do rangi tragedii równoznacznej ze śmiercią. Bardzo bała się reakcji rodziny. Już widziała pełne troski spojrzenie ojca, który nie będzie odtąd miał nadziei, że usłyszy słodki śpiew swojego rajskiego skowronka. Najbardziej jednak martwiła się tym, jak zareaguje matka. Wiedziała, jak bardzo jest wrażliwa na cierpienie swoich dzieci, zwłaszcza że dwoje z nich już pochowała. Postanowiła zatem zrobić wszystko, by ukryć przed najbliższymi swój żaloszny stan. Lecz matczyne oko nie dało się oszukać żadnymi, nader zresztą nieudacznymi fortelami.

– Paulinko, dziecko, co się dzieje z twoją ręką? Czy źle się czujesz? – zapytała pewnego razu pani Joanna przy obiedzie, widząc, że jej córka nie może trafić widelcem w oliwkę.

– Wszystko dobrze, mamó, nic mi nie jest – zapewniła Paulina, po czym ze złością rzuciła widelec na talerz i koślawym, ale nader szybkim krokiem opuściła jadalnię.

– Trzeba zasięgnąć porady doktora... – zauważył ojciec rodziny, pan Antoni. – Zachowanie Pauliny nie jest naturalne.

– Ostatnio czytałem, że tego typu objawy wskazują na chorobę nerwową – wtrącił Fileasz. – Niezdarność ruchów, gwałtowne reakcje emocjonalne...

– Paulina zawsze była nerwowa, gdy coś nie szło po jej myśli – zauważył Paweł.

– Lecz nie aż tak – dodał Fileasz.

Pani Joanna zbladła.

– Joasiu, chcesz wody? – zapytał pan Antoni i szybko napełnił szklankę żony wodą z karafki. – Moglibyście sobie

zaoszczędzić tego typu uwag przy matce – dodał. – To zapewne chwilowa niedyspozycja mięśni.

Niestety choroba Pauliny pogłębiała się. Coraz większej niezdarności ruchów towarzyszyły zdecydowanie nadpobudliwe reakcje emocjonalne. Gdy na przykład nie potrafiła sobie poradzić z utrzymaniem w ręku szklanki z wodą, ze złością rzucała ją na podłogę. Potem, próbując naprawić szkodę, którą wyrządziła, zbierała szkło, kalecząc sobie dłonie, co wywoływało kolejny atak furii. Dziewczyna była załamana. Wolałaby raczej umrzeć, niż stracić rozum, a to drugie zdawało się nieuchronnie nadchodzić. Była przekonana, że Pan Bóg ukarał ją za jej młodzieńcze występki. O, jakże gorzko żałowała teraz swoich zakazanych lektur, płochych rozmów, nadmiernej dbałości o wygląd swojego ciała i absolutnego ignorowania wyglądu duszy. Najgorsze jednak było dla niej to, że matka, strapiona stanem córki, zaczęła gwałtownie podupadać na zdrowiu.

Skoro jednak promienie zdrowego rozsądku przebijały się jeszcze przez okrutne ciemności jej umysłu, Paulina postanowiła działać. Pewnego dnia zwierzyła się Pawłowi ze stanu swojej duszy, prosząc o radę.

– Skoro sądzisz, że to kara boska, wróć do Boga i proś go o przebaczenie – powiedział łagodnie, gdy Paulina skończyła mówić.

– Wrócić? Ale jak? Jak mam obudzić w sobie to, co już dawno umarło?

– Cóż... Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłaś z nami w kościele...

– Och, Pawle, dajże spokój! Mam chodzić do kościoła w takim stanie, by się wystawiać na pośmiewisko ludzi? Zresztą ja już się nie potrafię modlić – dodała po chwili cicho z nutką dziwnej żalości.

Paweł obrzucił spojrzeniem postać siostry, lecz szybko spuścił oczy. Nie potrafił patrzeć na rajskiego skowronka

w takim stanie. Tak nazywano w rodzinie najmłodszą latorośl, ale teraz w rzeczy samej Paulina przypominała karykaturę samej siebie.

– Lecz – zaczął niepewnie – może jednak warto spróbować?

– Sądzisz, że bym mogła? Myślisz, że potrafiłabym się modlić?

– Sądzę, że modlitwa nie jest rzeczą tak trudną, jak się to większości ludzi wydaje. Zresztą, nawet jeśli nie pociągną cię słowa modlitw, na pewno nie pozostaniesz obojętna na piękną muzykę, która towarzyszy Mszom u św. Niccejusza, a muzyka też przecież może być modlitwą.

Paulina popatrzyła na swoje zeszytywniałe, nieco powykęcane palce. To prawda, że muzyka zawsze ją pociągała. Przecież to jej piękny śpiew, którym umiała życie rodzinne, zyskał jej miano rajskiego skowronka. Lecz teraz śpiewać już nie umiała, a o grze na fortepianie w ogóle nawet nie myślała.

– Może... – powiedziała po chwili. – Może i masz rację. Dobrze, spróbuję. Ale pójdziemy tylko we dwoje, dobrze? I wtedy, gdy w kościele będzie mało ludzi.

Jak ustalili, tak zrobili. A dobry Bóg, który był zawsze przy Paulinie, choć ona od Niego dawno odeszła – jak po latach wyznała pewnemu kapłanowi – posłużył się cudownym brzmieniem instrumentów, aby dotknąć jej serca i wzbudzić w nim szczery żal. Na myśl o swojej niewierności zaczęła wylewać gorzkie łzy. Zdawało jej się nawet, że Bóg coś do niej mówi, ona jednak zupełnie nie rozumiała co. Nie miała też nikogo, kto by jej wyjaśnił ów rozpaczliwy jęk jej duszy, toteż łzy, które wylała w takiej obfitości, szybko obeschły i zapomniała o dobrych radach Pawła. A jednak pamiętała słodczy, jaką wywołała w niej muzyka, i to naprowadziło ją na myśl, że może właśnie w muzyce znajdzie ulgę i pomoc w swoim cierpieniu. Któregoś dnia po obiedzie jeszcze raz weszła więc do pokoju Pawła, by porozmawiać z nim o swoich problemach.

– Miałeś rację, Pawle, że muzyka dobrze na mnie podziała. Lecz potrzeba mi czegoś więcej niż krótkie śpiewy kościelne. Czy mógłbyś mnie zabrać do *comédie*?

– Chcesz iść do teatru, w którym szerzy się tyle zepsucia i wyuzdania?

– Ależ, bracie mój, przecież nie muszę zwracać uwagi na treść, wystarczy mi samo brzmienie muzyki. Sam mówiłeś, że warto spróbować, jeśli coś ma mi pomóc. A muzyka właśnie mi pomogła.

– Lecz to było w kościele, w domu Bożym...

– Och, daj spokój, muzyka to muzyka, a w teatrze jest jej znacznie więcej, więc może odnieść silniejszy skutek.

I rzeczywiście odniosła. Wprawdzie nie taki, jakiego Paulina oczekiwała, lecz zbawienny dla jej duszy. Przedstawienie w teatrze, w którym Paulina nie była od bardzo dawna, obudziło w niej tak wielki niesmak, że z ogromnym zdziwieniem patrzyła na zachwycone tłumy widzów, oklaskujące z wielkim entuzjazmem aktorów, w których ona widziała jedynie nieprzyzwoite, wyuzdane kreatury.

– I jak ci się podobało przedstawienie? – zapytał Paweł, gdy wracali do domu.

– Och, Pawle, przecież ci wszyscy ludzie to tłum bezbożników. A te dekoracje i światła! O, jakżeż to wszystko było dla mnie puste! Czyż to się komu może podobać?

– Jak widać tak, skoro przedstawienie cieszy się takim powodzeniem – odparł Paweł z lekkim uśmiechem satysfakcji.

– Ja żadnej przyjemności i zabawy z niego nie zaczerpnęłam. Przeciwnie, gdy patrzyłam na aktorów, na ich beczelne nieprzyzwoitości i te wyuzdane miny, odczuwałam przerażenie i odrazę.

– Przecież cię ostrzegałem.

– Tak, Pawle, tak. Lecz teraz na własnej skórze przekonałam się, jak ohydną rozrywką jest komedia i jak haniebnym zawodem jest aktorstwo, teatr zaś jawi mi się wyłącznie jako miejsce nierządu.

- Może to dobrze?
- Dobrze? Jak to dobrze? Co masz na myśli, bracie? Nie rozumiesz, jaka jestem tym wszystkim zniesmaczona?
- Rozumiem, Paulino, dobrze to rozumiem i widzę w twoim zniesmaczeniu wielką dla ciebie szansę.

– Na uzdrowienie?

– Tak, Paulino. Wreszcie zrozumiałem, o co Bogu chodzi, jak bardzo On ciebie kocha, choć ty zupełnie tego nie widzisz. Zobacz tylko: wszyscy są zachwyceni teatrem, a ty widzisz w nim odrażające widowisko. Czyż to nie jest znak tego, że sam Bóg, jak najczulszy z ojców, pochyla się nad tobą, by objawić ci prawdę o świecie, który dotąd tak bardzo ci się podobał?

Paulina szła obok brata, słuchając go w milczeniu, i wydawało jej się, że z każdym jego słowem jakaś łuska spada z jej oczu.

– Co zatem powinnam teraz zrobić, bracie? – zapytała, gdy skończył mówić.

– Skoro nie znajdujesz ukojenia dla swego serca w tym, co innych pobudza do radości, patrz na to, co wzbudza w nich odrazę.

– Czyli?

– Och, Paulino! Jeszcze nie rozumiesz? Patrz na krzyż Chrystusa. Szukaj ulgi tam, gdzie rzeczywiście możesz ją znaleźć.

– Szukać ulgi w krzyżu? Czyż to nie paradoks?

– A czy nie jest paradoksem, że to, co innych bawi, ciebie zniesmacza?

Paulina przemyślała propozycję brata i postanowiła spróbować. Odtąd, ilekroć ból jej serca się nasilał, patrzyła na krzyż – i rzeczywiście przynosiło jej to ulgę. Szybko odkryła, że widok głowy Chrystusa okolonej koroną cierniową i przebitych gwoźdźmi rąk i stóp był prawdziwym balsamem, który koił jej boleści, choć zupełnie nie rozumiała, dlaczego tak się dzieje. Jej stan fizyczny wprawdzie się nie polepszał i większość czasu musiała spędzać w łóżku, lecz jej serce zaczęło

ożywać i z każdym dniem coraz bardziej sobie uświadamiała, że jedynym lekarstwem na jej chorobę jest Serce Boga. Zaczęła się więc modlić. Robiła to po swojemu, nie tyle wypowiadając słowa jakichś modlitw, ile raczej z coraz to większą ufnością zatapiając się w Bogu. Przywoływała też do siebie Pawła, prosząc, by jej mówił o Bogu. A jaką radość odczuła, gdy pewnego dnia brat przyniósł jej z biblioteki *O naśladowaniu Chrystusa*! Że też dotąd nigdy jej nie przyszło do głowy, żeby właśnie po tę książkę sięgnąć.

– Och, Pawle, jakież to piękne słowa! – wołała w uniesieniu. – Przychodź do mnie codziennie, by przeczytać mi choć kilka stron!

Paulina rzuciła się na lekturę duchową z takim samym zapałem, z jakim wcześniej pochłaniała lektury światowe. Dzięki temu przemiana jej skołatanego bólem serca szybko zaczęła postępować. „Jak długo nie zwrócisz się do Mnie i nie wyznasz Mi swojej winy, tak długo nie znajdziesz wytchnienia” – usłyszała pewnego dnia, rozważając słowa *O naśladowaniu*, które Paweł właśnie jej przeczytał.

– Pawle, Bóg do mnie mówi – powiedziała – jestem tego pewna, lecz ja nie rozumiem Jego słów. Powiedz mi, co powinnam jeszcze uczynić, by się nawrócić do Boga?

– Tego nie wiem. Lecz pytaj Boga. On nigdy nie zostawia bez odpowiedzi tych, którzy kołaczą do Jego Serca.

– Tak, tak, masz rację, Pawle. Będę kołatać. A powiedz, jak się czuje mama?

Paweł spuścił głowę. Nie potrafił powiedzieć siostrze, że stan matki wciąż się pogarszał.

– Nic nie mówisz, a więc źle – odgadła Paulina. – Nadal leży? Czy możesz mnie do niej zaprowadzić?

– Nie, Paulino.



– Dlaczego brat nie chciał cię, córko, zaprowadzić do matki?

– Lekarz zabronił nam kontaktować się ze sobą, Wasza Świątobliwość, mój stan zdrowia bowiem bardzo źle wpływał na matkę, ja zaś coraz bardziej pograżałam się, widząc, jak matka moja gaśnie. Pewnego dnia, gdy leżałam w łóżku i rozmyślałam nad kolejnym fragmentem *O naśladowaniu*, naszła mnie myśl, że być może Bóg pragnie jeszcze jednej ofiary z kręgu naszej rodziny. Poprosiłam Go więc, żeby, jeśli tak jest w rzeczywistości, zabrał mnie, a matkę moją pozostawił przy życiu. Byłam bowiem pewna, że tak będzie dla wszystkich lepiej. Lecz było już za późno. Matka moja wkrótce umarła, a choć fakt jej śmierci rodzina długo przede mną ukrywała, z obawy, że nie zniosę bólu jej utraty, ja przecież w głębi serca przeczuwałam, że Bóg uwolnił ją od trosk tego świata, by mogła żyć w wiecznej szczęśliwości. Później zaś, gdy stan mój zaczął się poprawiać, dowiedziałam się od mojej siostry Zofii, że i matka moja miała podobne przeczucie co do ofiary w naszej rodzinie, i ona również ofiarowała Bogu swoje życie, bym ja mogła przy nim pozostać. Powiedziano mi, że odchodziła z tego świata z wielką pogodą ducha, a jej ostatnie słowa brzmiały: „Dziękuję, mój Boże! Paulina będzie cała Twoja”. Po jakimś czasie dowiedziałam się od Pawła, że to mama poprosiła go, by nakłonił mnie do modlitwy i innych pobożnych praktyk. Biedna mateczka, choć była już utwierdzona przez Boga w tym, że dostąpi chwały nieba, martwiła się o zbawienie mojej duszy!

Paulina skończyła mówić. Jej ręce drżały, lecz wyraz twarzy miała pogodny, niemal rozmarzony. Papieski refektarz zaległa cisza.

– Dziękuję ci, córko moja, za tę opowieść – odezwał się po dłuższym czasie Grzegorz XVI. – Dotąd kochałem cię jako

córkę Kościoła, lecz teraz pokochałem również jako swoją przyjaciółkę i widzę, że i ty masz we mnie nie tylko papieża, lecz i przyjaciela, wszak tylko przyjacielom powierza się najtajniejsze głębie swojej duszy. A swoją drogą szczególna to okoliczność, gdy córka ofiaruje się za matkę, a matka za córkę. Piękną masz, córko, rodzinę, skoro są między wami tak wspaniałe więzi.

– O tak, Wasza Świątobliwość, lecz widać moja ofiara nie była miła Bogu, skoro jej nie przyjął.

– Nie przyjął, powiadasz? Hmm... Nie nam o tym sądzić. Wszak my, córko, widzimy po ludzku. Tylko Bóg zna całą prawdę...

3.

Sama widzisz, Przyjaciółko i Siostro, jak dobry jest nasz Ojciec Święty! On, który przy tak wielkiej liczbie zajęć i odpowiedzialności tyle swojego cennego czasu poświęcił mnie, biedaczce z Lyonu! To dla mnie wielka łaska, lecz i wielkie zobowiązanie, bym z tym większą energią ofiarowane mi w tak cudowny sposób zdrowie zaprzęgå w służbę świętej Łodzi Piotrowej, którą on z oddaniem kieruje.

O, wierz mi, że nie ma dla katolickiego serca nic tak pocieszającego, jak zachwycający widok Głowy Kościoła zasiadającej na tronie, jaki jej przygotowała miłość Boskiego Pasterza do swych owieczek. Zasiada tam jedynie po to, by błogosławić. Z jaką radością mój umysł i moje serce skłaniały się, by przyłgnąć do nauk świętego Kościoła, gdy namiestnik Jezusa Chrystusa ze Świętym Kolegium jednomyślnie odmawiali głośno Symbol Nicejski. Wyobrażałam sobie wtedy zgromadzenia chrześcijan w pierwszych wiekach Kościoła, kiedy, odmawiając wraz z Apostołami wyznanie wiary i przyjmując z ich rąk godną czci Eucharystię, pomówieni o błąd, zagrożeni przez tyranów,

przygotowywali się do męczeństwa. Och, droga Siostró, jakże mocno wtedy doświadczyłam, że jeśli wiara jest ofiarą, to jest to ofiara miłości, uwielbienia i dziękczynienia, przez którą nasze serce, zawsze będące małym dzieckiem, gdy chodzi o Kościół, z uniesieniem składa Mu hołd szacunku, uległości i pełnego zaufania!

Lecz pora już wreszcie, Siostró moja i Przyjaciółko, bym Ci napisała to, czego z pewnością po moim liście oczekujesz! Choć wiele razy w tych dniach miałam okazję opowiadać tu, w Rzymie, o moim uzdrowieniu, to przecież z największą przyjemnością opiszę Ci ze szczegółami te cudowne chwile, które przeżyłam u stóp świętej Filomeny. Znasz mnie dobrze i wiesz, że jeśli cieszę się z mego uzdrowienia, to nie ze względu na siebie samą (bo ja już całkiem swoje życie oddałam w ręce mego Pana i Oblubieńca), lecz ze względu na ukochanego Jezusa, który przez nie doznał chwały, i ze względu na drogą Filomenę, której cześć będę odtąd z jeszcze większym zapałem rozgłaszać po całym świecie.

Chociaż letnie upały nie zachęcały do podejmowania wysiłku podróżowania, z początkiem sierpnia wyruszyłam w drogę do Mugnano del Cardinale. Podróż swą zaplanowałam tak, by w najgorętszej porze dnia odpoczywać – i dzięki temu jakoś ją wszyscy przetrwaliśmy. Towarzyszyły nam piękne widoki równiny Casertano z groźnie nad nią górującym szczytem Wezuwiusza, lecz ja byłam w stanie podziwiać je dopiero w drodze powrotnej.

W sanktuarium świętej Filomeny stanęliśmy 8 sierpnia, właśnie w chwili, gdy dzwony kościelne oznajmiały błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem. Ach, więc mój Ukochany dał mi znak, że czuwa nad swoją oblubienicą, choć opłakany stan jej zdrowia mógł raczej wskazywać na to, że zupełnie ją już opuścił. Nasz pielgrzymi orszak znalazł gościnę u zacnej rodziny Bianco, której dom z przestronnym ogrodem przylega do placu kościelnego. Umieszczono mnie w dużym pokoju

z balkonem, z którego mogłam patrzeć na rzesze ludzi przybyłe na święto Filomeny. Oprócz mojej małej świty, zaopiekowali się mną pan Monforte, sędzia z Mugnano, i pan Didier, miejscowy aptekarz. Dzięki ich opiece i wielkiej troskliwości pani Bianco zdołałam nieco odpocząć po trudach podróży, lecz stan mój i tak był bliski śmierci. Mimo to następnego dnia poprosiłam, by zawieziono mnie do sanktuarium na moim krześle z wysokimi poręczami, co uczyniono posłusznie, choć z wielką obawą o moje życie. Tłum, jaki otaczał sanktuarium, był tak wielki, że z pewnością, gdyby nie pomoc żandarmerii, nie udałooby się mnie wnieść do środka kościoła. Lecz oto po kwadransie siedziałam już naprzeciwko ołtarza głównego, wzbudzając swoją osobą niemałe zainteresowanie. W istocie musiałam źle bardzo wyglądać. Niektórzy szeptali zdumieni, że przyjechałam tu chyba tylko po to, żeby szybciej spocząć w grobie z dala od ojczystej ziemi. Lecz ja zupełnie nie przejmowałam się tym, co mówią, i nawet gdybym miała siłę im coś odpowiedzieć, nie uczyniłabym tego. W końcu nie po to tu przyjechałam! Och, mimo swojego ciężkiego stanu byłam szczęśliwa, bo dobry Bóg dozwolił mi pokłonić się tej, która tak skutecznie wstawiała się za mną w mojej chorobie.

I wreszcie nadszedł 10 sierpnia, piękny dzień święta drogiej Filomeny. Już z samego rana umieszczono mnie na moim krześle w poświęconej Świętej bocznej kaplicy, w której odprawiały się jedna po drugiej prywatne Msze ku jej czci. Tłumy wiernych przewijały się przez kaplicę, lecz ja zupełnie na to uwagi nie zwracałam, zatapiając się w adoracji mojego Ukochanego. Gdy nadszedł czas naszej Mszy, ksiądz Henri wyszedł przed ołtarz, a drogi Claude z pomocą kilku rośliwych mężczyzn przeniósł mnie z krzesłem tuż do barierki, bym mogła być jeszcze bliżej mojego Oblubieńca i relikwii świętej Filomeny. I nie na darmo tak się stało! Bo oto po przyjęciu Komunii moje serce zaczęło bić jak szalone. Zdawało mi się, że chce wyskoczyć z mojej piersi, by ostatecznie pozbawić mnie tłącego się jeszcze we mnie życia.

Ból, jaki odczuwałam, był tak silny, że ku przerażeniu zgromadzonego tłumu wiernych, osunęłam się na moim krześle bez życia. Lecz gdy pan sędzia wraz z aptekarzem usiłowali mnie z niego zdjąć, sądząc najwyraźniej, że już oddałam ducha, ja uniosłam rękę, prosząc gestem, by mnie zostawili. Mój wzrok spoczął teraz na urnie ze szczątkami świętej Filomeny. Jedyne, czego pragnęłam, to umrzeć spokojnie u jej stóp. Lecz nadal żyłam i z pełną świadomością czekałam na błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem, myśląc, że niebawem nastąpi kolejny atak mojego biednego serca. Nic takiego się jednak nie stało. Przeciwnie, w chwili, gdy celebrans uniósł w górę monstrancję, ja poczułam się tak, jakby wstąpiło we mnie życie! Zaczęłam się kręcić na krześle, usiłując wstać, i po chwili, ku niemałemu zaskoczeniu zebranych w kaplicy wiernych, udało mi się to. Mój czujny służący usiłował mnie wprowadzić podtrzymać, zachęcając, bym usiadła, lecz ja czułam tak wielki przypływ sił, że odrzuciłam pomocną rękę i zrobiłam jeden krok, potem drugi i trzeci... Wkrótce byłam już na dziedzińcu kościoła. Wiedziałam, że to, co się właśnie wydarzyło, jest rzeczą absolutnie po ludzku niewytłumaczalną, dlatego zaczęłam z radości klaskać w dłonie i zaintonowałam na cześć mojego Oblubieńca *Glorię*, którą oniemiały z wrażenia tłumy natychmiast podchwyciły.

Jak mi potem powiedział pan aptekarz, który z wielką uwagą przypatrywał się całemu temu zajściu, w jednej chwili z bladej, wycieńczonej, na wpół umarłej osoby, stałam się kobietą try-skającą życiem i energią. Och, moja droga Przyjaciółko! Jakaż rozpierała mnie radość, gdy zupełnie swobodnie, bez najmniejszego trudu czy cierpienia, przechadzałam się pośród wiernych wypełniających dziedziniec przed kościołem. A potem wszyscy pośród śpiewu chwały i dziękczynienia odprowadzili mnie do domu rodziny Bianco, w którego progu już stała gospodyni, zwabiona tym niecodziennym poruszeniem. Ucałowałam ją serdecznie, po czym szybko przebiegłam przez ogród do mojego pokoju, chciałam bowiem z balkonu przyłączyć się

do tłumu, który tymczasem zaczął wiwatować na moją cześć. O, nie ja tę cześć winnam odbierać, lecz moja Święta, o czym wszyscy dobrze wiedzieli, choć w przyпіływie entuzjazmu to właśnie ku uzdrowionej za jej sprawą „panience z Francji”, jak mnie nazywano, kierowały się wszystkie spojrzenia. A gdy tak wiwatowaliśmy i śpiewaliśmy na cześć Pana, w pewnej chwili z kościoła dobiegł mnie głos dzwonów, które nie milkły przez dobrą godzinę! Radości nie było końca. A potem, przy kolacji w gronie rodziny Bianco, pan sędzia prześcigał się z aptekarzem na słowa, opowiadając zdumionym gospodarzom to, co zaszło w kościele. Och, gdybyś widziała łyzy radości pani Bianco, którymi oblewała moją twarz, tuląc mnie mocno do siebie niczym prawdziwa matka! Przecież jeszcze wczoraj wylewała zupełnie inne łyzy, układając moje wiotkie, martwe niemal ciało do snu. Byłam naprawdę szczęśliwa, o jak szczęśliwa, słysząc tę pieśń pochwalną na cześć mojego Oblubieńca.

W Mugnano zostałam jeszcze dziesięć dni, gdyż wszyscy, którzy usłyszeli o cudzie, chcieli mnie dotknąć, porozmawiać, usłyszeć historię mojej choroby. Mam nadzieję, że wiele osób pozyskałam w tych dniach dla Jezusa Chrystusa. A przy tym ja sama jakże dobrze się czułam w tym pięknym sanktuarium! Kustoszowi, który z tak wielkim zapałem kazał bić w dzwony na cześć mojego uzdrowienia, ofiarowałam moje krzesło, które towarzyszyło mi od początku podróży z Lyonu. Już go nie potrzebowałam. Pragnęłam natomiast zabrać ze sobą z Mugnano relikwie świętej Męczennicy, poczyniłam więc starania, by je pozyskać. Aby uczynić godne dla nich miejsce, poleciłam wykonać naturalnej wielkości figurę świętej Filomeny, ubraną w piękne, królewskie szaty. Następnie, na znak swojego całkowitego ofiarowania się Świętej, obciąłam włosy. Chciałam też złożyć na rzecz sanktuarium ofiarę, lecz kustosz odmówił jej przyjęcia, polecając, bym całą sumę przeznaczyła raczej na dzieła dobrotoczne w Lyonie. Myślę, że zasilił ją nowe hospicjum na Fourvière. Co myślisz o tym, by dać mu imię świętej Filomeny?



– Cóż teraz zamierzasz, córko moja?

– Z pewnością zostanę jeszcze czas jakiś w Rzymie, Wasza Świątobliwość. Chcę nasycić swą duszę świętością Wiecznego Miasta, wnikać w tajemnicę męczeństwa Kościoła i jego zwycięstwa nad marnościami tego świata.

– To dobrze, moja córko. Tu rzeczywiście można nieustannie rozpamiętywać wielkie dzieła, których Bóg dokonuje za pośrednictwem naszej Matki, Kościoła świętego, bo tutaj każdy kamień jest zroszony czyjąś męczeńską krwią.

– Ach, Wasza Świątobliwość, krew męczenników, której krople w tak niepojęty sposób łączą się w jedno w kielichu Krwi naszego Pana, jest dla mnie cenniejsza nad własne życie.

– Czyżbyś, córka moja, nie cieszyła się ze swojego uzdrowienia?

– Och, nie, Wasza Świątobliwość, bynajmniej. Cieszę się bardzo, lecz wiem, że po to zostałam uzdrowiona, by móc przelać jeszcze więcej swojej krwi dla dobra Kościoła. Wiem, co znaczy cierpieć, i wiem również, że jedynie cierpienie ma moc oczyszczenia naszych serc, by je uczynić godnymi przyjęcia daru zbawienia.

– Piękne słowa.

Paulina zmieszała się i spuściła oczy. Coraz częściej jej się zdarzało wygłaszać minikazania w obliczu dostojników kościelnych i trudno jej było się przed tym powstrzymać. A przecież tak często jej powtarzano, że kobieta w Kościele powinna milczeć.

– A jak, Wasza Świątobliwość, ma się kardynał Lamb-ruschini? – zapytała po chwili, zmieniając temat.

– O, drogi nasz kardynał! – westchnął papież. – Niestety, podczas twojego, córko, pobytu w Mugnano jego tajemnicza choroba pogłębiła się. Nawet najbardziej biegli lekarze nie potrafili określić, jaka może być jej przyczyna. Zmuszeni

zostaliśmy zwolnić go ze wszystkich obowiązków, by mógł odpocząć. W tych dniach wyjechał na wieś.

– Och, doprawdy? – Paulina okazała, jakoby była zdziwiona tą wiadomością, lecz nie do końca tak było.

– Tak, moja córko, i mamy obawy, że choroba ta jest nieuleczalna.

– Ach, nie, Wasza Świątobliwość – zakrzyknęła Paulina spontanicznie. – Zapewniam Waszą Świątobliwość, że kardynał będzie zdrow, trzeba tylko...

– Tak? – Grzegorz XVI z ciekawością pochylił głowę w kierunku Pauliny, zbliżając się do niej tak bardzo, że prefekt domu papieskiego zaniepokojony poderwał się ze swojego krzesła, by przywołać go do porządku. Na to papież podniósł rękę i uśmiechnął się. – W porządku, w porządku, księżu biskupie – powiedział. – Dla panny Jaricot możemy zrobić jeszcze o wiele więcej wyjątków. – Po czym zwracając się na powrót do Pauliny, dodał: – Co trzeba zrobić, żeby kardynał był zdrow?

– Ja, Wasza Świątobliwość... to znaczy... wydaje mi się, a nawet jestem w jakimś sensie tego pewna... – jękała się Paulina, patrząc z onieśmieniem na papieża. – Cóż, Wasza Świątobliwość, sądzę, że taka jest wola Boża, by kardynał chorował i zrozumiał, że tylko moc Jezusa może go uzdrowić – dokończyła szybko, spuszczając oczy.

Grzegorz XVI popatrzył na swoją rozmówczynię z pewnym zdumieniem, lecz i podziwem zarazem.

– A wiesz, córko moja, chyba coś jest na rzeczy. Od pewnego czasu mieliśmy wrażenie, że stał się taki jakiś... hm, jakby to powiedzieć... zbyt pewny siebie. Nawet gdy prosił nas, byśmy cię odwiedzili, widać było, że w ogóle nie bierze pod uwagę tego, że moglibyśmy mu odmówić. Tak, zbyt pewny siebie, to dobre określenie. Lecz skoro i ty, moja córko, masz podobne odczucia, może napisałabyś o nich kardynałowi?

– Ja miałabym pisać Jego Eminencji o swoich odczuciach?

– Z twojej żywej reakcji można by sądzić, że to nawet coś więcej niż odczucia...

– Tak, Wasza Świątobliwość. Podczas pobytu w Mugnano modliłam się o zdrowie dla Jego Eminencji i otrzymałam w tej kwestii od Jezusa coś jakby światło. Lecz czyż ja, słaba kobieta, mam prawo udzielać rad księciu Kościoła?

– Tak, jak najbardziej tak i niniejszym cię do tego obligujemy. Czy w czymś jeszcze papież może pomóc naszej drogiej pannie Jaricot?

– Chciałabym, Wasza Świątobliwość, spotkać się z generałem dominikanów, ojcem Cipollettim. Dla rozszerzania się dzieła Żywego Różańca byłoby bardzo korzystne, gdyby ojciec generał przyłączył go do dzieł dominikańskich. Zwłaszcza że początkowo bracia kaznodzieje byli niestety bardzo mu przeciwni, a i teraz, mimo *breve*, które Wasza Świątobliwość w tej sprawie ogłosił, nie bardzo wiedzą, czy powinni się w nasze dzieło różańcowe włączyć, skoro od dawna prowadzą już swoje.

– Tak, dominikanie mają Bractwa Różańcowe, to prawda, lecz przecież Żywy Różaniec w niczym im nie powinien przeszkadzać, bo konkurować z nimi nie ma chyba zamiaru?

– Och, oczywiście, że nie, Wasza Świątobliwość. Różaniec zawsze i wszędzie pozostaje tym samym różańcem, bez względu na to, kto i jak go odmawia. Nikt też nie zaprzeczy, i ja tego podważać nigdy nie zamierzałam, że ojcem różańca jest święty Dominik. Przecież to on otrzymał go z rąk Matki Najświętszej. Obawiam się jednak, że bez pomocy Waszej Świątobliwości nie zdołam przekonać dominikanów, że zupełnie nie chcę z nimi konkurować. Wszak ja sama od wielu lat należę do Bractwa Różańcowego i nie widzę powodu, bym miała z tej pięknej formy nabożeństwa różańcowego rezygnować. Cóż zatem stoi na przeszkodzie, by oni wzięli pod swoją pieczę mój Żywy Różaniec?



Jak dzień opowiada dniowi o mocy Stworzyciela świata, tak wieki opowiadają wiekom o zwycięstwie Chrystusa widocznym w twoich triumfach, o Kościele rzymski!

O Kościele święty, moje serce rozczuła się na myśl o twoich przywilejach! Będziesz się cieszyć przez lata wieczną młodością, odnawianą w Eucharystii, przez chleb żywy i źródło wody żywej, która zstąpiła z nieba i która udziela ci życia samego Boga. Kiedy nawet po władcach starożytnego Rzymu pozostał tylko pył, Piotr nadal kieruje, pod różnymi imionami, niezniszczalną łodzią Kościoła, która w radosnym majestacie swojej siły i bez obawy, że jakaś burza mogłaby przerwać jej rejs, zmierza do portu, w którym po bezskutecznych próbach zjednoczenia tu, na ziemi, człowiek i szczęście zawrą wieczne przymierze!

Moja droga Siostró i Przyjaciółko!

Wybacz, jeśli słowa te wydadzą Ci się zbyt wzniosłe, lecz właśnie takie wyrwywają się z głębin mojego serca, gdy przezieram te wszystkie miejsca, które przypominają nam chwalebne dni chrześcijańskiego Rzymu. O tak, moja droga Siostró i Przyjaciółko! Jestem w pełni świadoma, że teraz, po powrocie z Mugnano, rozpoczynam całkowicie nowy etap swojego życia i niczego się po nim nie spodziewam, jak tylko tego, że dobry Bóg uczyni mnie zabawką w swoich rękach. O, jakże pragnę być Mu na nowo i jeszcze bardziej niż dotąd poddana we wszystkim, co do mnie należy! Czyż dziwić się będziesz, że również moja mowa będzie odtąd inna, nowa i bez reszty podległa temu jedynie, by wysławiać moje Oblubieńca?

Rzym jest piękny w swym majestacie i każde z miejsc, które odwiedzałam, nappełniło mnie wdzięcznością i jakąś tajemniczą siłą. Och, gdybym próbowała Ci dać choćby małe wyobrażenie o tym świętym mieście, to obawiam się, że przekroczyłoby to ramy najdłuższego listu. Rzym, owo miasto wielkiego Króla,

na budowlach wzniesionych ku Jego chwale niesie jakiś ślad mądrości Najwyższego Architekta świata.

Tak, droga Przyjaciółko, bez wątpienia cały Rzym jest miastem świętym i wspaniałym, lecz są w nim trzy miejsca, które w sposób szczególny pobudzają moją duszę do miłości i wdzięczności Bogu za to, co raczył uczynić w moim życiu. Te trzy miejsca to Watykan, Koloseum i katakumby. O, jakże mi one przypominają drogę, którą Bóg raczył mnie prowadzić od chwili mojego nawrócenia! Watykan przypomina mi, że jestem córką Kościoła, zwłaszcza od chwili, gdy powołałam do istnienia naszą małą wspólnotę Córek Maryi i sama się stałam jej częścią. Czyż bowiem owo bycie Córką Maryi nie jest tożsame z byciem córką Kościoła? Ja w każdym razie niczego innego nie pragnę, ani dla siebie, ani dla moich drogich córek w Jezusie Chrystusie. Koloseum to kolejny krok na mojej drodze duchowej. Gdy przysłam tu po raz pierwszy, by spędzić trochę czasu na arenie i zakosztować wspomnienia chwalebnych i świętych walk męczenników, którzy na tym miejscu zostali wydani na pastwę dzikich drapieżników i mieczów gladiatorów, uświadomiłam sobie, że moim powołaniem jako córki Kościoła jest męczeństwo serca. Co więcej, Bóg dał mi moc, bym właśnie takiego męczeństwa zapragnęła ku Jego chwale. A katakumby? Och, moja Przyjaciółko, pamiętasz, jak opowiadałam Ci o losie biednego jedwabnika zamkniętego w kokonie? Właśnie los tego małego owada, o którym nieraz słyszałam od swojego starszego brata (wszak producent jedwabiu najlepiej wie, skąd pochodzi materiał służący do jego wyrobu), pozwala mi zrozumieć, co znaczy obumrzeć, aby rozpocząć nowe życie. A jeśli katakumby są dla Rzymu symbolem pogrzebania, to dla mnie są nim tym bardziej. A malowidła tego podziemnego Rzymu? Czyż nie nawołują one do głoszenia światu jedynej prawdziwej wolności, ku której wyswobodził nas Chrystus? Czyż patrząc na nie, można jeszcze wątpić, że cenna jest w oczach Boga śmierć jego świętych i że o wiele lepiej jest wybrać śmierć, niż splamić się grzechem?

Rzym jest też dla mnie miejscem dobrych natchnień. Właśnie wczoraj, przemierzając via Appia, wpadłam na pomysł utworzenia w Ziemi Świętej domu rekolekcyjnego dla członkiń Żywego Różańca. Czyż nie byłoby pięknie, gdyby te zacne panie modliły się o oswobodzenie Grobu Świętego z rąk pogańskich, nabierając sił duchowych właśnie tam, gdzie najlepiej się wspomina lata ziemskiej wędrówki Chrystusa? Och, moja Przyjaciółko, po tym cudownym uzdrowieniu w Mugnano wstąpił we mnie tak wielki zapał i tak wielki ogień misyjny rozpałił moją duszę, że w istocie swej znów czuję się jak ów jedwabnik, który wydobył się z kokonu, by pod postacią motyla rozpocząć nowe życie.

O, jakże pragnę jeszcze bardziej żyć dla mojego Umiłowanego! A skoro nie zabrał mnie jeszcze do siebie, będę pracować na ziemi dla Niego tak długo, jak On sam zechce. Wiem przecież, że bez Niego nic dobrego uczynić nie zdołam. Na próżno prządka kręciłaby szybko mechanizmem, gdzie spoczywa szpula, by odwinąć jedwab; jej wysiłki szłyby na marne, męczyłaby się i nie zrobiła nic, gdyby końcówka nici nie była połączona ze szpulami. Podobnie wszystkie moje wysiłki będą daremne, jeśli nie będę zjednoczona z Bogiem żarliwą miłością.

Wiesz o tym, Przyjaciółko moja, że już dawno temu, podczas mojego nawrócenia po ciężkiej chorobie nerwowej, Pan zapowiedział mi, iż będę reprezentować Jego Kościół. Dlatego tak zabiegał, bym była z Nim zjednoczona. Przecież to On sam sprawił, że zapragnęłam ugościć Go w swoim sercu. O, tak. Dość wcześnie ujrzałam swoją duszę jako nędzną chatę z drewna, postawioną wprawdzie na wzór świątyni, lecz zbudowaną z przegniłych desek i z otwartym żebrzem sklepienia. Nie było tam żadnego dachu, a moje serce było przedstawione jako ławeczka zrobiona z tego samego drewna co chata. Nasz Pan, Jezus Chrystus, przyniósł do tej ubogiej chaty bogate tkaniny, żeby ją ozdobić. Nie była jednak zamknięta, dlatego wszystkie bogactwa zabrali złodzieje. Lecz mimo ubóstwa

i brzydoty tego miejsca, mimo małej czujności mojej w korzystaniu z ozdób przeznaczonych do uświetnienia mieszkania Pana, Bóg w swojej dobroci nie wzgardził nim, ale usiadł na ławeczce i uświadomił mi, że jest na niej za mało miejsca i że obok Niego nikt się już nie zmieści. Innym zaś razem zobaczyłam moje serce jako pole, na którym posiano wszelkiego rodzaju dobre ziarno. Zobaczyłam, że gdyby nie przenikało tam słońce, to ziarno zgniłoby w ziemi, niczego nie rodząc. Ale gdyby tam przenikało, to ogrzałoby i ożywiło zasiew i sprawiłoby, że wyrosłyby z niego tysiące kwiatów. Jestem wreszcie jak biedny krzew, który wygina się sto razy dziennie, lecz właśnie słabość jego zapewnia mu zwycięstwo; zasadzony nad brzegami miłości Jezusa, moczy się, schylając się ku wodom Jego łaski, a woda sprawia, że nowe liście wyrastają na miejscu tych, które wyrwała burza.

O Boski kwiecie, którego niezrównana woń unosi się nad człowiekiem na ziemi i raduje raj! Kwiecie nieskończenie różnorodny w swych doskonałościach i dobrodziejstwach, uwielbiam Cię, gdyż Ty sam jeden kryjesz w sobie wszystkie cnoty i wszelką chwałę. Jesteś purpurą męczenników, bielą dziewic, wonną gorliwością Apostołów, słodką wonią wszystkich cnót świętych. Jezu, Tyś jest ich koroną, tak jak byłeś załączkiem i wzrostem ich świętości.

Tak, droga Siostró, nie przestawajmy jednoczyć się we wspólnym uwielbieniu drogiego Jezusa zawsze i we wszystkim. To najpiękniejsze zajęcie, jakiemu możemy się oddawać na tej naszej biednej ziemi.

Twoja służebnica w Jezusie i Maryi, PMJ

Rozdział drugi

Rajski skowronek

Pozostałe rozdziały dostępne w pełnej wersji e-booka.